

Helena Nowak z d. Jasińska

Nagranie relacji i redakcja maszynopisu: Janina Wołczuk

Temat: Ziemia Lidzka...

736 obl. I/569
© ARCHIWUM WROCŁAWIA

Urodziłam się w Towzginianach w powiecie Lida. Towzginiany to była wieś, ludzie mieszkali na koloniach. Było może ze 150 gospodarstw. Do kościoła chodziliśmy do Woronowa, to było najbliższe miasteczko od nas, w odległości 4 km od Towzginian. Szkoła była w Towzginianach.

Mój ojciec był osadnikiem, ale pochodził z kresów, był miejscowy. Gospodarstwa w Towzginianach były różne - po 20 hektarów, po 30. Mój ojciec miał 60 ha. Przed wojną skończyłam 4 klasy, ale klasa IV była dwuletnia. Naukę dalszą dzieci pobierały w Werenowie albo w Lidzie. Dużo dzieci chodziło dalej do szkoły. Miałam starszą siostrę, ale ona się nie uczyła dalej, wyszła za męża, mieli z mężem około 50 ha ziemi.

Moi rodzice byli przed wojną zamożni, mieli przecież tyle ziemi. Mieli piękny nowy dom na kolonii, stodołę, oborę, spichlerz, piękne ogrodzone podwórko. Mieli inwentarz: świnie, krowy, owcy. Konie były 2, a krów chyba 6, były barany, kury. Sąsiedzi nie wszyscy byli zamężni, bo niektórzy przychodzili do nas do pracy, dorobić. Darmo nie robili, ojciec płacił gotówką. Pieniądze miał ze sprzedaży zboża, inwentarza. Ojciec mój należał do Kasy Stefczyka. Z kasy ludzie brali pożyczki. Siedziba kasy mieściła się w Werenowie. Dależało do niej sporo ludzi.

Gospodarowaliśmy przy pomocy robotników dochodzących. Na stałe mieliśmy służącą, parobka i pastucha, którzy mieszkali przez cały rok u nas. Pastuch na jesieni dostawał pieniądze i deputat zbożowy. Służąca mieszkała u nas cały rok, ale czasami zbierała się do domu, pomieszkać trochę u swojej rodziny, ale zawsze mówiła, że wróci, bo u pana Jasińskiego jej było dobrze. Służąca ~~hax~~ była z pobliskiej wioski - Kodzie. Służąca była chyba Półką, bo u nas nie było Białorusinów. Wszyscy mówili po polsku - i służąca i parobek. To byli bardzo pracowici ludzie. W domu u nas nic nie było zamknięte. Jedzenia było wbród, świnie bili często, owce bili, było dużo kur, mleka, śmietany. Niczego nie brakowało.

Dom mieliśmy umeblowany, meble robił stolarz, część ojciec kupił w Woronowie. Mieliśmy jeden pokój większy, jeden mniejszy, przedpokój i komorę. Łazienki nie było. W mieszkaniu mieliśmy podłogę. Dom był kryty gontami. A we wsi ludzie mieli różne dachy: i gonty, i blacha, i słoma.

Mieliśmy już przed wojną radio, z głośnikiem, na baterie. Kiedy baterie wysiadały, to było zmartwienie. Do nas ludzie przychodzili na wieczorynki, słuchać radia - szczególnie jak była "Ciotka

Helena Nowak z d. Jasińska c.d.

Albinowa"; nie wszyscy jeszcze mieli radia w domu. Na wsi były już rowery - ja sama miałam rower, ojciec miał rower.

Młodzież urządzała zabawy taneczne. W Towzginianach była świetlica, zarządzała nią straż pożarna. Przygrywała miejscowa kapela - skrzypce, akordeon, bęben. Młodzież śpiewała różne piosenki - i polskie, i białoruskie, kto co umiał. Ja miałam spisane piosenki do zeszytu, wszystkie je wyśpiewałam, jak pasłam krowy, kiedy nie było pastucha. Teraz już mało co rozumiem po białorusku - teraz przyjechali znajomi spod Lidy, to już nie mogę rozmawiać z nimi po białorusku, ale rozumiem.

W szkole była nauczycielka z Polski centralnej, sama, bez rodziny. Ludzie bardzo ją lubili, przynosili jej i jajek i śmietany i masła - ze szczerego serca. Ona miała podejście do ludzi. Nauczycielka mieszkała w Towzginianach u gospodarzy. A szkoła była nowa, wybudowana.

Rosjan zobaczyłam, kiedy przyszli do wsi - prosili o jedzenie. Ja strasznie się ich bałam, mówiono, że niewiadomo co mogą zrobić dziewczętom. I tak było.

Pewnego dnia ojciec wrócił z Werenowa i powiedział do matki, że w Werenowie jest dzisiaj wyjątkowo dużo Rosjan, chyba będą wywozić. Nie zdążył tego wymówić, a już przed domem był samochód ciężarowy. Zapytali, czy tu mieszka Jasiński. Posadzili ojca za stołem, nas obudzili, posadzili koło ojca. Rosjanie zaczęli szukać broni, żądali broni od ojca. Potem kazali mamie dać ojcu ręcznik, trochę słoniny i bieliznę. Ojca zabrali, a potem kazali mamie zbierać rodzinę. My wszyscy zaczęliśmy płakać, jedno rzecz się weźmie, pcha się zamiast do worka za worek... To było straszne przeżycie. Ale był jeden ruski bardzo dobry człowiek - wszystko nam składał do worków. Nas wywozili w czerwcu 1940 roku. Zajechaliśmy tą ciężarówką jeszcze po sąsiadkę - jej mąż też był aresztowany.

Oprócz nas zabrali też Mickiewiczową - ich zabrali; zabrali też Kuszelewiczów - oni mieszkali pod lasem. Z nimi razem jechaliśmy potem w wagonie. A ciężarówką przywieźli nas do Bieniakon, tam dołączyli jeszcze kilka wagonów, zawieźli do Lidy, w Lidzie postawiliśmy jeden dzień - i z powrotem - już na Sybir. Jechaliśmy w tamtą stronę 2 tygodnie /a potem z powrotem - 4 tygodnie/.

W transporcie dostawaliśmy jedzenie. Przychodził strażnik, kazał brać dwa wiadra i worek na chleb. Wychodziliśmy z nim, prowadził nas pod karabinem... Nikt w drodze nie uciekł - ja chciałam uciec do lasu, to mi strażnik powiedział, że mnie zastrzeli.

U nas w transporcie nikt nie umarł. Najwięcej ludzi umierało, kie-

Helena Nowak z d. Jasińska

dy wywozili w Lutym.

Nas przywieziono do Abakanu /za Krasnojarskiem/, potem do Czarnogorki. Tam poprzyjeżdżali ruscy i zabierali ludzi do pracy. Biwakowaliśmy w szkole, na kupie. Ja byłam z matką, z dziadkiem i dwiema małymi siostrami. Potem siostry zostały zabrane do ochronki do Krasnojarska. Zmarł dziadek, zmarła najmłodsza siostra, zostały tylko te dwie. Mama nie pracowała, chorowała. W Krasnojarsku była ochronka dla polskich dzieci i tam zabrali Rysię i Walerkę, a ja zostałam z mamą. Co nas kosztowało oddanie tych dzieci. Ale nie było wyjścia, bo co miały jeść. Co to było te 30 dkg chleba? W tym chlebie to był żubin i trociny. Matka leżała w domu, dostawała 30 dkg chleba białego, bo nie można jej było jeść czarnego. Wracając z pracy kupowałam matce chleb, jeśli jeszcze było co kupić. Pieniądze organizowałam, bo sprzedawałam wszystko, co jeszcze mieliśmy przywiezione. Oddawało się rzeczy za to, co kto dał. Taki piękny płaszcz oddałam za wiadro ziemniaków! A co mi w z płaszcz, kiedy człowiek zdychał z głodu! Chodziłam wymieniać do kołchozu.

Pracowałam najpierw w kopalni. W kopalni wykonywałam te prace, co górnicy. W Czarnogórcie było 14 kopalni. Ładowałam węgiel na wagoniki - to trwało 3 lata. Pracowało się 8 - 12 godzin, zależnie od tego, co naczalstwo powiedziało. Nie puszczali z kopalni i już. Przecież sam z kopalni nie wyjdiesz! Do kopalni wchodziło się po drabinie, windy nie było. Jak się wyszło po drabinie na górę, to nóg już nie było czuć, nogi były jak drewno. Kopalnie były głębokie na 150-200 metrów. Były jeszcze głębsze, ale tam pracowali inni zesłańcy - taki śniady naród.

Początkowo do pracy chodziliśmy pod konwojem. Ludzie zbierali się w miejscu zbiórki i szli wszyscy razem. Nie wolno nam było rozmawiać z Rosjanami, w kolumnie byli sami Półacy. Mieszkaliśmy w komórce wielkości naszego garażu - to pomieszczenie było na 8 rodzin, z malutkim okienkiem. Przywieźli nas latem, a zimą! Było tylko 40⁰ mrozu. Mam poodmrażane palce. Wodę w wiaderku trzeba było siekierą rozbijać. W baraku-ziemiance było bardzo zimno, bo góra była przykryta mokrym piaskiem. Ten piasek potem wyschł i sypał się na wszystko, nie trzymał ciepła. Nawet nie było czym się nakryć, bo wszystkośmy pozbywali. Wyjeżdżając zabraliśmy i posciel, bo ten ruski był bardzo dobry - wszystko kazał brać do worków, mówił, że wszystko się przyda. Zabraliśmy kilka worków ubrania i jedzenia. Wzięliśmy trochę mąki.

Po trzech latach w kopalni przeniesiono mnie do pracy na powierzchni, w ogrodzie. W kopalni nie miałam już siły pracować, byłam wycieńczona, strasznie chuda. Ważyłam 30 parę kilogramów.

Helena Nowak z d. Jasińska

Razem ze mną pracowały dziewczyny przede wszystkim z Augustowa. Chłopców w kopalni prawie nie było. Pamiętam nauczycielkę z synem, dziewczęta, którym zmarł ojciec.

Potem pracowałam w ogrodzie w sowchozie. Tam już było dobrze: miałam przy ubraniu duży kołnierz, dookoła zaszyty, a w jednym miejscu był pozostawiony otwór, zapinany na agrafkę. W tym kołnierzu poukładałam dookoła ziemniaki /były takie długie ziemniaki/ i tam przechodziłam rewizję, nikt nie wpadł na to, że ziemniaki mogą mieć w kołnierzu. Zawsze mogłam parę ziemniaków mamie przynieść. Czasami poszczęściło się i człowiek ukradł ze 2-3 kapusty. Mama nie pracowała do końca: zachorowała na malarię, potem to padło na wątrobę, nogi zrobiły się sztywne całkiem - chodziła jak na kijach.

W Czernogorce było dużo Polaków. Dużo było w okolicznych kołchozach. Było sporo Polaków z Lidy, którzy wyjechali do Andersa. "As by też wzięli, ale nie było w naszej rodzinie mężczyzn. Do Andersa wyszli ci bardziej wykształceni, a my - ciemni ludzie - zostaliśmy. Wyjechali ci, co się bardziej orientowali w sytuacji.

Polacy początkowo trzymali się razem. Dostaliśmy taką świetlicę i odprawialiśmy razem nabożeństwo majowe - wolno było. Ale potem chuligani rusczy zaczęli nas bić. Potem w tej świetlicy była stołówka i tam wydawali obiady i suchy prowiant. Stamtąd czasami dostaliśmy prawie wiaderko makaronu albo grochówki - i tym z mamą podtrzymaliśmy się, bo inaczej pomarłybyśmy z głodu.

II strona

Zatem ja nie wyszłam do wojska, bo nie było z kim zostawić mamy. Poszły wtedy dwie panie z Lidy - z matką /takie grzeczne/. Mężczyzn było bardzo mało, tylko tacy starzy dziadkowie, jak nasz dziadek. Rodziny były bez mężczyzn, bo ci zostali wcześniej aresztowani, tak jak nasz ojciec. Ojciec był trzymany w więzieniu w Baranowiczach. Kiedy wybuchła wojna Rosjan z Niemcami, ojciec wrócił do domu, był w Towzginianach. Więzienie w Baranowiczach zostało rozbite. Ale potem ojciec został wywieziony ponownie /jak przyszli Rosjanie/ - do Komi ASRR. Razem z ojcem siedział brat mojej mamy - Dorniak. /Dorniak jest teraz w Niemczech: Niemcy wywieźli go na roboty, potem zapoznał się z Niemką, ożenił się i tam został/. Dorniak był z Porojscia, miał młodszego brata. Ten młodszy woził do Baranowicz do więzienia to, co mógł - żywność, paczki. A ten, co siedział, był tak bity, że miał ubranie popękane.

Potem pisałam do siostry do Towzginian, siostra przysłała nam adres ojca już wywiezionego. Ojciec potem po zwolnieniu wrócił do Towzginian. Potem my wysłaliśmy mu zaproszenie i on przyjechał do nas tutaj. A kiedy my wracaliśmy do Polski, to było w Czarnogorce

Helena Nowak z d. Jasińska c.d.

jeszcze dużo Polaków. Zrobiono nam zebranie, powiedziano, że można jechać do Polski, ale odradzano wyjazd, mówiono, że tutaj Niemcy zabijają, mordują w nocy ludzi. Tak mówili Rosjanie. A myśmy powiedzieli: niech zabijają, ale na naszej ziemi. Wracaliśmy w ciężkich warunkach - 3 tygodnie. Nie wypuszczono do Polski tych, którzy byli aresztowani, siedzieli w więzieniach. Niektóre pary jechały polsko-rosyjskie. Do mnie tam też swatał się taki jeden lotnik. Ale mi małżeństwo z Rosjaninem nie odpowiadało. Wyszłam za mąż dopiero tutaj w 1948 roku. Ale niektóre dziewczyny wyszły za Rosjan. A ile dzieci miały! To się nie mówi o tym! To były nieślubne dzieci. Przyjechały potem do Polski. Te dziewczyny chyba się tak kochały, bo ja to nienawidziłam Rosjan. Tam mężczyzn trochę było, wracali niektórzy z frontu - to bez ręki, to bez nogi. Jak się stało w kolejce po chleb na kartki - a kartki trzeba było wykupić, bo przepadały - i rozmawiało po polsku, to taki inwalida potrafił wziąć za kołnierz kogoś i postawić na koniec kolejki - i chleba już się nie dostało! To było takie bezprawie: bo on wojował, i za Polskę też! I nie było do kogo pójść na skargę! Jakiś przedstawiciel Polaków był gdzieś w Krasnojarsku, a tu w Czarnogórcie nie było nikogo.

Z Rosjanami poza tym żyliśmy zgodnie. Mieszkaliśmy nawet w jednym baraku z Rosjankami z Leningradu. Były też Rosjanki ze Smoleńska. Niektórzy byli solidni, ale inni... Nienawidziłam Rosjan, bo prześladował mnie sen, że przyjeżdża samochód i nas wywozi. Kiedyś jak pojechałam za Bug, to też całutką noc siedziałam: szwagier wychodzi i pyta, czemu ja nie śpię. A mi się wydawało, że znów samochód jedzie po mnie. /Siostra mieszka w Towzginianach, nazywa się Prochowska Stanisława/. Szwagier zostawił swoją ziemię, zabudowania - oddał do kołchozu - i mieszka na naszym. Stoi dom, stodoła, obora, jest piękna studnia, nie ma co narzekać. Szwagier też był przed wojną bogaty, ale nie był wywieziony - Rosjanie nie zdążyli.

Z transportem mieli nas wieźć pod Szczecin. Ale jedna znajoma zachęciła nas do Wołowa. W Wołowie dostałam mieszkanie, a mama mieszkała osobno. Siostry wróciły do Polski z domem dziecka, a ja z mamą. Siostry przyjechały do Barda Śląskiego. Spotkałyśmy je w drodze w transporcie, one musiały jechać z ochronką. Potem mama je zabrała.

Kiedy przyjechałam do Wołowa, to było tutaj jeszcze parę rodzin niemieckich, ale ja z nimi nie mieszkałam.

Siostry mówiły, że w domu dziecka w Bardzie Śląskim było bardzo dobrze, zakonnice bardzo o nie dbały. A o pobycie w Rosji niewiele opowiadały. Najważniejsze, że nie głodowały.